MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 15 WARSZAWA, 3 KWIETNIA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

A. E. I. O. U.

ALEMANIS EST IMPERARE ORBI UNIVERSO

Doniosłego znaczenia zmiany, dokonane obecnie w mapie Europy na rzecz Niemiec, domagają się tak wszechstronnego oświetlenia, że każdy z ciekawością i z pożytkiem przeczyta poniższe rozważania p. Taczanowskiego, choćby nie ze wszystkiem się z niemi zgadzał. Wiążą się one z artykułem p. Taczanowskiego „Odwieczne oblicze dzisiejszej polityki niemieckiej", zamieszczonym w nr. 4 z r.b. „Myśli Narodowej". Tytuł obecnego artykułu jest parafrazą dewizy Fryderyka III: „*Austriae est imperare orbi universo*". Red.

Wypadki, jakie się rozegrały na szachownicy europejskiej, dają nam dowód między innemi wolnej woli człowieka: Okazuje, się że wola i siła ludzka nie są bynajmniej żadnym mitem. To, co się stało, mogło się nie stać. Zdecydowali o wyniku ludzie, tylko ludzie. Zwyciężyli ci, którzy wiedzieli, czego chcą, jak Niemcy, a doczekali się spełnienia swych marzeń ci, którym katolickie państwo Habsburgów było nienawistne.

Anschluss został dokonany za zgodą masońsko - protestanckich rządów Francji i Anglii oraz z powodu zaciętego sprzeciwu Małej Ententy (również pochodzenia masońskiego) wobec ewentualnego powrotu Habsburgów. Ale Paryż i Londyn dobrze były poinformowane o zmianie polityki zagranicznej Mussoliniego. Wiedziały dobrze, że jeśli nie dojdzie on do porozumienia z byłymi Aliantami, zwróci się do Rzeszy, że okupi jej poparcie obietnicą, iż nie będzie się mieszał w razie czegoś do spraw niemiecko - austryjackich. Ale, że Włochy zajęły Abisynię, że jawnie walczą po stronie gen. Franco, Paryż i Londyn nie chciały ugody z Rzymem — i Austria została poświęcona Germanii. A my w przebiegu tak ważnej sprawy nie odegraliśmy żadnej roli. Podobnie jak w przeszłości, wypadki nami dalej kierują, — Ale czy można choć na chwilę przypuszczać, że Niemcy podpisali z nami pakt o nieagresji z bezinteresownej miłości do nas? Dziwnym zbiegiem okoliczności nasz minister spraw zagranicznych bawił właśnie we Włoszech, gdzie go spotkało wprost niesłychane przyjęcie i zupełnie niewspółmierne z dotychczasowymi stosunkami polsko - włoskimi. Właśnie w tym czasie nie było rządu w Trzeciej republice, minister spraw zagranicznych niemiecki bawił w Londynie rzekomo nic o niczem nie wiedząc, a na granicy litewskiej... Cudowne zbiegi okoliczności, doskonały środek dywersyjny dla zamydlenia nam oczu.

Otóż choć największe mu się należy uznanie jako politykowi, trzeba stwierdzić, że Mussolini zawiódł „*la Civiltà latina*". Niemcy byli i będą zawsze wrogami cywilizacji heleno-rzymsko-katolickiej. Oni jedyni w Europie chełpią się zwycięstwem odniesionym nad Rzymem. Po upływie 19 wieków tam, gdzie niecywilizowani jeszcze Germanowie pokonali legiony rzymskie, umieszczono kamień z napisem przypominającym owe zwycięstwo. W dziedzinie religii i literatury Luter uosabia ten duch germański zbuntowany przeciw Rzymowi. Na płaszczyźnie myśli historycznej i filozoficznej Herder i Fichte przypisują wszelkie zło w dziejach Europy narodom łacińskim. Teorie rasistowskie są w gruncie rzeczy skierowane przeciw ich cywilizacji. A jednak Mussolini zawarł sojusz z Niemcami. Musi w tym fakcie mieścić się inna jakaś głębsza myśl. Istotnie chodzi o zagadnienie polityki ogólno-europejskiej, związane z dalszym rozwojem naszej cywilizacji. Kto będzie politycznie i kulturalnie przodował w Europie — oto pytanie, na które pragnie dać odpowiedź Mussolini w imieniu Italii.

Każdy kto się zastanowił nad tym zagadnieniem w perspektywie minionych czasów, dochodzi do przekonania, że już właściwie od XII wieku

dwa państwa poczynają wyłącznie kierować pośrednio lub bezpośrednio wszystkimi wypadkami w Europie, i że reszta państw jeno się sprzeciwiała tej hegemonii lub ją popierała. Były to Anglia i Francja. Wiadomo jest wszystkim, że wszelkie wytwory ludzkie opierają się na dwu zasadniczych podstawach: rozumowaniu i doświadczeniu. Innymi słowy, racjonalizm i empiryzm rządzą światem. Cechą umysłową Anglików oraz ich filozofii jest właśnie empiryzm, ściślej pragmatyzm, racjonalizm zaś charakteryzuje Francuzów. To też historia nas uczy, że oba te narody nadawały ton Europie, jeden — kulturalny, a drugi — ekonomiczny, polityczny zaś — naprzemian z lekką w sumie przewagą Francji tak długo, jak długo flota była za mało rozwinięta, by rozstrzygnąć losy wojny toczącej się na lądzie. Wpływy cesarstwa nie wynikały bynajmniej z właściwości konstruktywnych Niemców, lecz w prestiżu korony cesarskiej, wzmocnionego moralnym poparciem Stolicy apostolskiej. Arabowie jak Hiszpanie zabłysnęli na ekranie europejskim na podobieństwo komety, ażeby zniknąć. Istotnie aż do XIX w. najważniejsze odkrycia i zdobycze umysłowe miały swój początek głównie we Francji i Anglii. Wiek XIX natomiast stał się wiekiem myśli niemieckiej, to jest przewagi w dziedzinie teorii filozoficznych, oraz hegemonii politycznej i niemal, że ekonomicznej też. Niemcy bowiem zajęły miejsce pośrednie między racjonalizmem francuskim, który chce widzieć świat takim, jakim jest, a pragmatyzmem angielskim, który widzi świat takim, jakim ma być. Oni zaś widzą świat metafizycznie czy politycznie takim, jakim go chcą mieć. Ta odrębność umysłowa wyraża się w słynnym ich „Werden". Dlatego już Herder, Fichte, Hegel, a w ostatnich czasach Spengler twierdził, że Zachód nieodwołalnie dąży do bankructwa moralnego, politycznego oraz intelektualnego i że tylko Niemcy mogą wybawić Europę od tej zagłady. Poza granicami Niemiec wywody te znalazły pełne uznanie zwłaszcza we Włoszech, gdzie zawsze Francji zazdroszczono jej stanowiska na czele *„della latinità"*. Wychowany na historiozofii niemieckiej, bo niemasz odrębnej włoskiej myśli filozoficznej, przejął się tą tezą Mussolini, ażeby zmienić trochę jej założenie. Przecież Italia jest spadkobierczynią Rzymu, Cezara i Augusta. Jej się też należy odegranie pewnej roli w Europie, powiedział sobie twórca faszyzmu. Skoro dotychczas przodowały w Europie Francja i Anglia, to ich miejsce zająć mogą pokrewne im narody Włochy i Niemcy. Polityka może im być wspólna. Handel i kultura w rękach włoskich, coś na podobieństwo Renesansu i Wenecji. Przemysł i kierownictwo militarne w rękach niemieckich, jako, że to technicznie uprzywilejowany i o wiele liczniejszy naród germański. Taki podział wpływów w Europie uśmiecha się kierownikom i publicystom Italii, jest to nawet refren oficjalnej prasy, choć jeszcze dość dyskretnie zaśpiewany.

Czy Włochy są do takiego kierownictwa spraw europejskich zdolne, trudno na to odpowiedzieć w ramach jednego czy dziesięciu artykułów, to zbyt obszerne zagadnienie. Ale wiemy za to dobrze co sądzić o Niemczech. Można jednak się zapytać, czym by zastąpili Włosi zarówno jak i Niemcy brakujące im, tak niezbędne, właściwości umysłowe, jak racjonalizm i empiryzm? Racjonalizm i empiryzm, te najistotniejsze czynniki twórczości i mądrości politycznej, przestrzegały długie wieki Francję i Anglię przed zgubną myślą o cesarstwie, to znaczy o absolutnej, militarnej hegemonii. Wszelkie podobne marzenia zawsze się źle kończyły. Na dowód dla Francji dwie klęski dwóch Napoleonów. Jak dotychchas Anglia uniknęła tego błędu. W odległej zaś przeszłości imperium rzymskie miało swą rację bytu, póki Europa nie była cywilizowana. Ale dziś... Stąd jasny wniosek, że jakiekolwiekbądź „cesarstwo" jest w Europie zaborcze, przeto jest czynnikiem burzącym jej równowagę i pokój. Tego najlepszy dowód dali w średniowieczu cesarze niemieccy. A Niemcy hitlerowskie właśnie o nowej formie „cesarstwa" jawnie marzą. Przy obecnym układzie sił, Włosi, ażeby nie pozostać w tyle, muszą iść narazie w ich ślady. Jest to w gruncie rzeczy odruch bardzo naturalny. Istotniejsze jest, że jedni i drudzy są pozbawieni zmysłu krytycznego, który przywraca równowagę dążeniom i wysiłkom ludzkim. Niestety Niemcy znają zbyt dobrze to co jest *„kolossal"* — ten ton właśnie chcą Europie narzucić, lecz trzeba wpierw ją zawojować. Opanowanie Austrii jest pierwszym etapem tego kolosalnego dzieła, tego nowego „cesarstwa". Warto się tu zastanowić nad środkami, jakich użył Hitler.

„Wojska niemieckie wkroczyły do Austrii, ażeby porządek utrzymać w kraju". Znamy dobrze ten argument, operował nim Fryderyk II przeciw Polsce, a plebiscyt po hitlerowsku — to komedia dramatyczna. Znamy ją z historii Śląska. Dopiero wojsko niemieckie ma uświadomić Austryjaków o ich narodowości! Cudowny pomysł. Ale Austryjak i Niemiec to jeden naród argumentuje Hitler.

— Ciekawe jest tylko to, co by się stało, gdyby wkroczyli do Belgii Francuzi, bo znaczna część jej ludności mówi po fracusku.

— Ciekawe jest tylko to, co by się stało, gdyby jako trzykrotnie liczniejszy naród od Anglików, Amerykanie Anglię zawojowali, bo wspólną mają kulturę protestancką i język. Albo, gdyby Anglicy podbili Stany Zjednoczone, bo ich wzajemny stosunek gęstości zaludnienia na km² ma się jak 264 : 16 (Anglia bez Irlandii).

Hitler dobrze wie, że niema wspólnej kultury niemiecko-austryjackiej. Cała bowiem historia prądów umysłowych w Europie dowodzi, że katolicka Austria różni się kulturalnie od protestanckich Niemiec (a one mają przewagę intelektualną nad południową częścią katolicką) tak, jak my Polacy od Rosji. Żaden sofizmat hitlerowski nie zmieni tego stanu rzeczy, ale zmieni go nieznany dotychczas Austryjakom duch germański. I to jest bardzo smutne, jeśli brać uczuciowo tę kwestię, a smutniejsze z punku widzenia układu sił i pokoju w Europie. Że charakterem Austryjacy różnią się od Niemców, dał nam dowód burmistrz Wiednia, hitlerowiec niemiecki, gdy napisał do Hitlera, że w dowód entuzjastycznego hołdu przezwał dotychczasowy Plac Dolfussa, na Plac Hitlera. Tylko jeszcze nieokrzesana natura mogła tak postąpić. Ale każdy swoją drogą mógł zauważyć z doświadczenia osobistego, że Niemiec uznający tylko w gruncie rzeczy prestiż siły, bywa uprzejmy i pogodny, gdy stanowi mniejszość, w liczniejszym zaś gronie swych ziomków zdradza brutalną naturę i hardy charakter. To też prawo niemieckie w jego pojęciu jest jedynym prawem międzynaro-

dowym, wszyscy teoretycy niemieccy zresztą od Kanta począwszy, tak myślą.

*

W takich więc warunkach istnieje sojusz włosko-niemiecki. Zauważono jednak pewne rozterki między Rzymem a Berlinem. Przedewszystkiem uderzyło oświadczenie rady faszystowskiej, że nie była poinformowana o mającej się w taki sposób rozwinąć akcji niemieckiej w Austrii. Innymi słowy Mussolini został zaskoczony brutalnością i nagłością wykonania planu. Hitler przestał być protegowanym Mussoliniego, wydarł z rąk partnera atut, zwany sprawą „*Anschlussu*", którym mógł mu zawsze zagrozić dyktator faszystowski — i rozegrał go, wygrywając grę. Stwierdzono również, że rząd niemiecki zajął Austrię armią złożoną z tej samej ilości ludzi, materiału wojennego, samolotów i czołgów, co wojsko włoskie wysłane na Brenner po zamordowaniu Dolfussa w 1935 r. Może to czysty przypadek, a może to symboliczny gest, że Niemcy nie zapomniały o oporze Mussoliniego z przed trzech lat. Hitler bowiem nie bezcelowo podkreślił, że Brenner stanowi teraz wspólną granicę Rzeszy i Italii.

Jest niezaprzeczalne, że w obecnej chwili Mussolini zdradził *la civilta romana*, o której wszystkim narodom świata w każdej mowie wspomina. Już niema równowagi europejskiej. Niemcy są na nowo liczbowo i obszarem kolosalne. Odbili przegraną z 1918 r. Już zagrażają interesom włoskim. Triest nad Adriatykiem — co za pokusa. Port ten stanie się koniecznością ekonomiczną dla Niemców. Leży w odległości 170 km. od granicy — obecnie niemieckiej i stanowi okno na Bliski Wschód, czym Niemcy są bardzo zainteresowani. Od tego punktu granicznego do morza północnego jest w prostej linii 1000 km. Zatem towar wysłany do krajów pomorskich przez Triest będzie znacznie tańszy od towaru *via* Hamburg. Każdy popatrzywszy się na mapę, zauważy, że łatwiej jest ze szczytów Alp dostać się na nizinę włoską, niż się przedostać przez trzy pasma gór na terytorium niemieckie, które w znacznej odległości od Alp, jest wciąż wysokogórskie. Nie należy zapomnieć, że trudności natury geograficznej w Abisynii zostały pokonane w szybkim tempie, dlatego, że nie były wykorzystane przez ludność na pół barbarzyńską i niemającą o strategii i taktyce najmniejszego pojęcia. Poza tym Niemcy liczą wraz z Austrią przeszło 70 milionów mieszkańców a Włochy tylko 43. Sąsiedztwo takie mimo wszystko jest niebezpieczne. Przy takiej przewadze liczebnej, nawet najbardziej pacyfistyczna inwazja na sposób szczepów koczowniczych — z narzędziami pracy w ręku, byłaby nie do wstrzymania. A co dopiero... Są to zagadnienia dobrze znane Włochom, jednak nie wahali się połączyć politycznie z Rzeszą. Wiadomo, że w polityce nie ma miejsca dla względów natury uczuciowej. Podobny stan rzeczy istniał za czasów Bismarka i Crispiego.

*

Otóż nie trzeba się bawić w proroctwa, aby sobie powiedzieć, że ani Hitler, ani Mussolini nie są wiecznymi. Wieczne mogą być jedynie zalety, cechy oraz wady charakteru narodowego. Nie miejsce je tutaj wyliczać dla Włochów i Niemców. Fakt jest, że czasu jest mało, bo wyraża się długością życia Mussoliniego, ażeby podciągnąć Italię do poziomu roli, jaką odegrały Francja i Anglia. W tym celu należy każdy błąd polityczny wykorzystać do *maximum* i spieszyć się w dokonaniu dzieła. Dzieje Italii uczą nas bowiem, że Włosi posiadają mało inicjatywy osobistej. Wszystko wielkie, do czego doszli politycznie, zostało dokonane pod impulsem i naciskiem wybitnych jednostek. One to zmuszały do czynu biednych Włochów. Cała historia Renesansu, „*il Risorgimento*" ilustruje to najwyraźniej, a nie tak dawno temu bo w 1915 r. D'Annunzio i dziś—Mussolini. Naród włoski nie ruszał z miejsca, póki nie znalazł był swego kondotiera. Niemcy są niemal w tym samym położeniu. Kondotierami ich byli średniowieczni cesarze, Luter, Fryderyk Wielki, Bismark i dziś — Hitler.

Dla porównania weźmy Anglię i Francję, gdzie na przestrzeni długich wieków wśród monarchów, czyli ludzi prowadzących losy narodu znalazło się kilku zaledwie wybitnych jak Filip Piękny i Franciszek I oraz Henryk VIII i Elżbieta. Żadnych kondotierów nie było potrzeba w tych krajach, dla umożliwienia rozwoju i inicjatywy poszczególnych jednostek, pożądany był jeno trwający jakiś czas pokój i ład w państwie. Natomiast ci kondotierzy, którzy zabłysnęli w Anglii i Francji, jak Napoleon I i III oraz Cromwell — niczego trwałego nie zbudowali. Z ich śmiercią, a niekiedy wcześniej runęło całe ich dzieło polityczne i społeczne.

Ten rzut oka wstecz tłumaczy nam, czemu tak gwałtownie Mussolini forsuje losy Europy. Niech Niemcy biorą Austrię, nawet Szwajcarię — kto wie czy z biegiem czasu kawałki te nie będą i tak ciężko strawne. Im mniej „naturalnie" wygląda jakieś państwo geograficznie, tym kruchsze bywa jego dzieło. A tymczasem Włochy rosną jako potęga, a to jest najistotniejsze dla Mussoliniego. Sojusz z nimi stanowi gwarancję na najbliższą przyszłość. Można go jeszcze okupić — kto wie, czy wkrótce Francja i Anglia w rosnącej przed Niemcami obawie nie pójdą na ugodę z Włochami, myśli sobie Il Duce. I czeka zadumany. — Polityka to idea, polityka to również „*business*", jak mówią Amerykanie.

Poznań. CZESŁAW TACZANOWSKI

METTERNICH

(Dokończenie)

DNIA 14 marca 1848 r. wysłał Metternich listy do króla pruskiego i cesarza rosyjskiego, które były oświadczeniem o ustąpieniu z urzędu, na którym z tymi monarchami współpracował; odpowiedzi władców były takie, jakby żegnali swojego własnego wielkiego ministra. Papież niejasno poinformowany przez swego sekretarza stanu gotów był mianować Metternicha kardynałem, mniemając, że takie jest życzenie księcia-kanclerza, a cesarz Franciszek I nadawszy w dwa dni po bitwie pod Lipskiem mu tytuł książęcy obejmujący wszystkich jego potomków bezpośrednich, po wejściu do Paryża w kwietniu 1814 roku dodał herby Austro-Węgier do herbu Metter-

nichów. Takie nagrody otrzymał mąż stanu, o którym francuski historyk, André Robert, pisze, że uczynił nieuchronnym upadek Napoleona.

Za swoich najlepszych przyjaciół uważał sam Metternich cesarza Franciszka i Fryderyka von Gentz. Cesarz Franciszek tak ufał swemu ministrowi, że autorem instrukcji cesarskich dla niego był sam Metternich; pokój paryski z 1814 r. podpisał Metternich w imieniu Austrii przed podaniem jego warunków do zatwierdzenia cesarza, a Franciszek na list ministra kończący się zdaniem: „Wobec tych okoliczności sądziłem się zwolnionym od oczekiwania na przyjazd Waszej Cesarskiej Mości aby zawrzeć i podpisać traktat", odpowiedział poprostu: „Pan postąpił w tej sprawie jak należało i jako ojciec dziękuję z całego serca za to co uczynił Pan dla mojej córki" (cesarzowej Marii Ludwiki). Z Gentz'em współpracował Metternich przez trzydzieści lat, nie zawsze się z sobą zgadzali ale dopełniali się świetnie i po śmierci przyjaciela charakteryzował go książe-kanclerz w słowach: „Rzadkie połączenie najwybitniejszych zalet, talent nadzwyczajny, prawdziwy geniusz zeszedł do grobu z tym, którego opłakujemy; miejsce, które zajmował nie może być przez nikogo zajęte".

Dużo energii czerpał Metternich w życiu czysto osobistem: w przeżyciach romantycznych i wśród najbliższej rodziny. Jeden z historyków niemieckich (Fr. B. Schaeffer) słusznie stwierdza, że Metternich umiał zupełnie rozdzielić sferę swego życia publicznego i prywatnego; pod tym względem książe-kanclerz zachowywał się analogicznie do Ludwika XIV. Od młodości dużą podporą moralną i inspiratorką była matka, z domu hrabianka von Kagenegg, pupilka Marii Teresy. Był do niej zarówno fizycznie, jak duchowo wiele podobniejszy niż do ojca, choć już ojciec nie był byle kim, jako wielkorządca austriackiej Flandrii (dzisiejsza Belgia) a potem książe von Ochsenhausen i członek przybocznych rad cesarza. Pierwsze małżeństwo z wnuczką kanclerza księcia Kaunitz'a było trochę dyplomatycznym układem, ale Metternich czule się do swej małżonki przywiązał, choć zdradzał ją z księżnymi Bagration, de Sagan, z Karoliną Murat, z hrabiną de Lieven; po trzydziestu jeden latach pierwszego małżeństwa ożenił się Metternich po raz drugi „żeby nie być sam" z młodszą o 33 lata baronówną Leykam, zachwycającą osóbką „nie z towarzystwa"; straciwszy ją wkrótce ożenił się mając 58 lat z dwudziestosześcio letnią hrabianką de Zichy-Ferraris, z którą miał jeszcze czworo dzieci i którą przeżył (umarła w roku 1854) podobnie jak wszystkie swoje dzieci z pierwszego małżeństwa (obecnie żyje tylko jeden książe Metternich, który jest pasierbem polaka, hrabiego Skrzyńskiego). W domu miał zupełny spokój, w myśl jego życzenia, nigdy nie było „scen" *(éclat);* uważał, że człowiek żyjący samotnie jest nie tylko nieszczęśliwy, ale z pewnością nie jest człowiekiem dobrym.

Pracował Metternich dużo (np. w jednym z listów z roku 1817 pisał: „Wczoraj był tłusty dzień, trzy godziny na radzie ministrów, trzy godziny w urzędzie kanclerskim, trzy godziny audiencji"), ale pracował niewidocznie, miał czas na wszystko, nietylko na korespondencje, audiencje, narady z ministrami, raporty i rozmowy z cesarzem, ale także na spacery, na wysłuchiwanie profesorskich dysertacji, na teatr i koncerty (był wielbicielem muzyki), na przyjęcia w ściślejszym gronie i na wielkie ceremonie i zabawy. Był znawcą sztuk pięknych, urządził swoje salony i gabinety jak artysta i mecenas sztuki (przypominając pod tym względem Mazarini'ego), a jednocześnie badał postęp nauk ścisłych, zaznajamiał się z wynalazkami technicznymi i popierał ich zastosowanie praktyczne i rozwój (np. kolejnictwo), zastanawiał się nad zagadnieniami ekonomii politycznej i polityki społecznej, sprzyjał rozwojowi kapitalizmu opartego na kredycie i inwestującego wielkie przedsiębiorstwa (podobną linię ma dziś Salazar, uważając, że potępić trzeba plutokrację ale nie ludzi zamożnych, uniemożliwić trzeba istnienie spekulantom, ale nie finansistom kredytującym przedsiębiorstwa). W stosunkach z ludźmi był czarujący, wszyscy, nawet przeciwnicy, widzieli w nim uosobienie szlachetności, wykwintu i wzniosłości, ale nad wszelkie osobiste upodobania stawiał wyżej to co uważał za swój obowiązek: wzruszały go wiersze Heinego, ale zwalczał go przez policję i cenzurę, jako człowieka antyspołecznego, politycznie niebezpiecznego, z przyjemnością odczytywał Boernego listy z Paryża, ale zwracał uwagę rządu francuskiego na ich rozkładowy wpływ. Metternich był człowiekiem pod każdym względem zupełnym.

Wydaje się rzeczą wprost niesłychaną stronność w poglądach na księcia-kanclerza u historyków, którzy przecież mieli już możność zaznajomienia się z dokumentami bezpośrednio go charakteryzującymi (pamiętniki i dokumenty Metternicha zostały opublikowane w ośmiu tomach w 1879 roku, w dwadzieścia lat po jego śmierci), ale, ta stronność jest zrozumiała. Metternich jest postacią historyczną, która przeciwstawiła się całej ideologii panującej w XIX wieku.

Z jednej strony rzucili się na niego pisarze wyznający poglądy wielkorewolucyjne zarówno kosmopolityczne, jak partyjno-jakobińskie i bonapartystyczne; z drugiej strony „narodowcy" wieku XIX, z których jedni byli liberałami, a inni zaciekłymi imperialistami i szowinistami obciążali Metternicha winami ze swego punktu widzenia. Jedni pisarze (i to nie literaci, lecz historycy) robili z Metternicha nadęte zero, inni drewnianego żandarma; zręczna propaganda uczyniła z nazwiska Metternich takiego straszaka, jak ze słów „reakcja" i *„ancien régime"*. Z tego chorążego zachodnioeuropejskiej tradycyjnej cywilizacji, który z Francji i Nadrenii przesadził jej krzewy nad Dunaj, pisarze XIX-go wieku, którzy jeszcze dziś znajdują naśladowców (np. Bibl), stworzyli postać karykaturalną.

Niektórzy pisarze byli perfidni i przyznawali Metternichowi zalety, ale jednostronne, co go jeszcze mniej dawało poznać, gdyż był on najwszechstronniejszym z mężów stanu ostatnich stuleci. Sorel i Seignobos przyznali Metternichowi wielki talent dyplomatyczny, ale, przecząc rzeczywistości, odmówili mu charakteru bojownika o określony światopogląd, gdy tymczasem Metternich był przedewszystkiem takim bojownikiem, idealistą, doktrynerem, o czem świadczą wszystkie jego postępki i enuncjacje. Paléologue i szereg innych pisarzy uznali, że Metternich był hedonistą, najwytworniejszym bohaterem przygód romantycznych, że był szczęściarzem predestynowanym do wielkich godności przez urodzenie i przez zbieg wypadków,

wreszcie, że wszystkie jego akty, cała jego linia była z góry określona przez jego predyspozycje naturalne, jako *grand seigneur'a*. Wszystko to poglądy stronne i powierzchowne ludzi, którzy albo z powodów ideologicznych, albo narodowych (w wąskim, imperialistycznym, tego słowa znaczeniu), albo przez niezdolność do zrozumienia epoki i stylu życia Metternicha, stali się jego oszczercami.

Metternich był „europejczykiem", ale w zupełnie innym znaczeniu niż dzisiejsi zwolennicy „Stanów Zjednoczonych Europy" w rodzaju Brianda, księcia de Rohan i hr. Coudenhove-Calergi; był on obrońcą Europy przed upadkiem grożącym jej przez wyzbycie się własnej indywidualności wskutek niwelacji historycznych osobowości państwowych i narodowych przez taki właśnie pacyfizm demokratyczno-republikański i zjednoczenie, które propagowały i propagują wyżej wskazane osobistości. Metternich stał się uosobieniem światopoglądu przeciwnego Wielkiej rewolucji francuskiej; jednocześnie zwalczał unifikację niwelacyjną jak rozproszkowujące egoizmy państwowe i dlatego zrobili z niego monstrum przez fałszerstwo i nienawiść historycy demoliberalni, masońscy i socjalistyczni, jak i imperialistyczno-konserwatywni (v. Treischke). Dopiero w ostatnich latach zeszłego stulecia zaczęła się rewizja poglądów i poznawanie prawdziwego Metternicha.

Pierwszym historykiem, który przedstawiać zaczął tego męża stanu bez szyderstwa, uprzedzeń i wyrzutów był O. Lorenz, ale „odkrył" Metternicha dopiero prof. baron v. Srbik w swoim dwutomowym dziele wydanem w Monachium w roku 1925. Francuzi, swoim lekkim piórem kłuli postać księcia-kanclerza za decydującą rolę przy obaleniu Napoleona, wielbiciele Bismarka rzucali w nią pangermańskimi oszczepami, ale zmiana we Francji poglądów na Wielką rewolucję, na rolę Napoleona, na Kongres wiedeński i Restaurację zaczynają lepiej usposobiać historyków fraucuskich, co się najwybitniej zaznacza w studium André Robert'a w antologii biograficznej wydanej w roku zeszłym p. t. „*Hommes d'Etat.*" Dziwne jest trochę, że dawne przesądy o Metternichu zachowywał hr. de Saint-Aulaire, choć rozumie on zasługi Kongresu wiedeńskiego wobec Francji; wynika to zapewne ze stronnego przywiązania się Saint-Aulaire'a do Talleyrand'a, który jako człowiek i polityk był odwrotnością Metternicha. Pisarze, którzy wymagali od Metternicha żeby był niwelatorem paneuropejskim i dlatego stawali po stronie reprezentującego tę tendencję korsykańskiego zdobywcy, z drugiej strony tacy, którzy nie mogli mu wybaczyć, że nie był przedewszystkiem Niemcem, lub przedewszystkiem austryjakiem sprzymierzyli się z sobą w tworzeniu śmiesznej legendy o Metternichu „żandarmie" Europy, amancie, wirtuozie i eksperymentaliście bez zasad. Metternich był w swoim rodzaju filozofem, był jednocześnie człowiekiem czynu, był i realistą i realizatorem. Dopiero po roku 1920 ukazywać się zaczęły pośmiertne wydania studiów historycznych Augustyna Cochin, poległego w czasie wielkiej wojny, który uczciwie badając epokę wielkiej rewolucji zaczął uwzględniać decydujący wpływ masonerii na jej wybuch, przebieg i rozpowszechnianie się jej ideologii. Tymczasem dla Metternicha była to rzecz oczywista, zwalczał on Wielką rewolucję walcząc z masonerią, która „stale przygotowuje narzędzia dla spisków przeciw religii i państwu" (nota w programie wykładów nakreślonym przez Metternicha dla młodych arcyksiążąt w r. 1825).

Osobiście Metternich, syn masona z wieku oświecenia (i Józef de Maistre był przed wielką rewolucją masonem), nie był wierzącym katolikiem; gorąco wierzył w Boga, ale nie w dogmaty i do Kościoła katolickiego stosunek jego był polityczno-utylitarny. W zakresie zagadnień o stosunku Kościoła do państwa uznawał Metternich, że Kościół ma własną sferę działania, w której powinien mieć całkowitą wolność (dogmaty, hierarchia, karność członków duchowieństwa); państwo ma swoje zadania, powinno szanować Kościół jako instytucję wszechświatową, niezdolną do spełniania swych zadań jako zamknięty „Kościół państwowy"; *iura circa sacrae,* czyli obchodzące zarówno Kościół jak państwo zalecał Metternich traktować wychodząc z założenia, że konieczne jest porozumienie władz duchownych i państwowych w imię dobrze rozumianego interesu obu stron. Przy końcu swoich rządów zabiegał Metternich o zniesienie niezgodnej z kanonami legislatury z czasów Józefa II, a wspomniany wyżej epizod w sprawie obdarzenia Metternicha kapeluszem kardynalskim jest najlepszym dowodem, jak był ceniony przez Watykan, który w owych czasach potępiał prądy demoliberalno-katolickie.

Najlepiej, w gruncie rzeczy nawet wyłącznie, poznać można Metternicha studiując „Metternichs nachgelassene Papieren" (Wiedeń 1880 — 1884), których ostatnie wydanie po francusku zrobione zostało przez księgarnię Plon'a w 1931 r. Badając te dokumenty dochodzi się nieuchronnie jako do konkluzji do zdania, które wypowiedzieliśmy na początku tego studium, że Metternicha dzielić nie można: albo trzeba mu przyznać wszystko a wtedy zależnie od własnych przekonań podziwia go się względnie potępia, albo nie zna go się, zadawala bajką o nim, co jest tem łatwiejsze, że dotąd olbrzymia większość historyków wszystkich narodowości i różnych odcieni politycznych właśnie bajkę o nim pisała. W naszych czasach lepiej można rozumieć Metternicha, niż używając wyrażenia Leona Daudet'a, w „głupim XIX-m wieku". Wystarczy pojmować historię nie romantycznie, nie indywidualistycznie i nie kosmopolitycznie, wystarczy tak historię pojmując zaznajomić się z Metternichem jako czynnym mężem stanu a potem znaleźć potwierdzenie wysnutych wniosków w syntezie filozofii politycznej Metternicha, która zawiera jego testament polityczny rzucony fragmentami na papier w latach 1849 — 1855.

W politycznym testamencie Metternicha czytamy między innymi, że zasadą przewodnią polityka musi być „siła w prawie" (nie bismarkowska: „siła przed prawem"), że postęp rzeczywisty dąży do wolności pojętej jako wynik porządku, do jedynej możliwej równości, którą jest równość przed prawem i powszechnego dobrobytu, jako podstawy moralnego i materialnego spokoju. Bardzo słusznie wskazuje Metternich w tym testamencie, że słowo „wolność" nie może być na początku, lecz na końcu; na początku musi być słowo „porządek", bez którego dążenie do „wolności" jest tylko środkiem dla partii, chcącej osiągnąć władzę i po osiągnięciu jej przez „wolność" wprowadzającej tyranię. Porządek, według Metternicha, jest to taki układ stosunków, który odpowiada warunkom materialnym i moralnym

określającym charakter narodowy i konstytucja państwowa mysi być tworem ducha narodowego. Te poglądy mogą dziś znaleźć uznanie u przedstawicieli nowoczesnego nacjonalizmu we wszystkich krajach, nic dziwnego, że ich echo znajdujemy w pismach Karola Maurras'a i w oświadczeniach Salazara.

W umysłach większości osób, które mają więcej lub mniej wiadomości o Metternichu, lub które choćby wiedzą tylko, że istniał i był mężem politycznym udało się zakorzenić najbardziej powierzchowny i demagogiczny przesąd, że był on uosobieniem „reakcji", „przywileju" i t. d. Podkreśliliśmy to już parokrotnie, a teraz chcemy dodać jeszcze parę słów na ten temat. Rolę i poglądy Metternicha trudno jest zrozumieć, gdyż był on w sposób ciągły związany ze światopoglądem, z którym teraz związek jest prawie zerwany. Europa Metternicha, to była jeszcze „stara Europa" mająca poczucie własnej osobowości i wyższości nad „nowymi" państwami i narodami, wyższości zdobytej dzięki zachowywaniu przez tradycję dziedzictwa historycznego ze starej Grecji, z Rzymu, ze średniowiecza i renesansu. Od upadku Metternicha następowało w coraz gwałtowniejszym tempie ogołacania się Europy, przez co chciano się „odmłodzić", admirując kraje bez historii, bez osobowości, państwa bez narodów.

Metternicha nie bronili i nie bronią ani austryjacy (choć on właśnie państwo austryjackie uczynił najważniejszym członkiem europejskiego systemu równowagi w pierwszej połowie XIX-go wieku) ani ludzie z jego warstwy i bliskiego doń obozu zachowawczego. Po śmierci Metternicha ministrowie austryjaccy prowadzili austryjacką politykę „państwową" nie czyniąc z monarchii habsburskiej pioniera systemu powszechnego, wskutek czego Austria miała od połowy XIX-go wieku tylko *prestige* własny, oparty na siłach materialnych przez nią reprezentowanych i ten *prestige* stale malał. Ludzie z warstwy do której Metternich przez urodzenie i stosunki należał nie byli i nie są tak jak on przywiązani do zasad ogólnych, które uczyniły Metternicha postacią reprezentującą cały światopogląd i interesy nadklasowe, dając mu przez to pozycję *quasi* — monarszą Arystokracja w jednym odłamie, kastowa i rzeczywiście wsteczna, zaś w drugim, sprzymierzająca się z plutokracją i wchodząca w jej skład, nie chciała się nim „kompromitować". Nie odgrzebią teraz postaci Metternicha przedstawiciele wielkich ruchów znanych ogólnie i całkiem nieściśle „faszystowskimi", przedewszystkiem nie zrobią tego politycy i profesorzy hitlerowscy. Rewolucja nacjonal-socjalistyczna dokonała się w imię niektórych tradycyjnych zasad bytu, lecz działając przez masy uprościła te zasady, cofając się do punktów wyjścia z epoki wczesnego średniowiecza i przekreślając całe okresy historyczne, których rezultaty były treścią typu cywilizacji, bronionego przez Metternicha. Spodziewać się trzeba, że nacjonalsocjalistyczni historiozofowie rzucać będą ciągle na księcia-kanclerza gromy wyciągnięte z wszechniemieckiego arsenału wielbicieli Bismarka.

Wielkość i wartość dziejowej roli Metternicha potrafią ocenić tylko ci, którzy patrząc na rzeczy jak on *sub specie aeternitatis* chcą widzieć Europę, jako wspólnotę różnorodnych osobowości zbiorowych stworzonych przez historię, a nie jako bezduszny materiał przeznaczonz do zniwelowania w propagowanych przez dzisiejszych paneuropejczyków „Stanach Zjednoczonych Europy", które byłyby urzeczywistnieniem masońsko-żydowskich zamierzeń na drodze do republiki światowej.

LESZEK GEMBARZEWSKI

ROZJEMCZYM GESTEM. — I.

ONEGDAJ

GODNY uznania jest zamysł oświetlenia teraźniejszości i przyszłości Polski za pomocą wielkich reflektorów przeszłości, zamysł, jaki powziął p. Jan Mosdorf w wydanej świeżo książce swojej p. t. „Wczoraj i Jutro". Mam właśnie przed sobą pierwszy tom tego dzieła. Drugi ma się ukazać niebawem. Że jednak tom pierwszy sam w sobie stanowi całość zamkniętą, więc nie czekając można go omówić osobno.

W tomie owym autor zamierzył zapalić naprzód dwa, z samego założenia swego potężne ognie przeszłości, zapowiadając, że w pierwszym rozdziale poda syntezę dziejów cywilizacji europejskiej, a w drugim — syntezę historji polskiej. Obydwoma rozdziałami oświetlony trzeci rozdział książki zawiera rozumowy i krytyczny zarys prądów politycznych w Polsce od powstania styczniowego do chwili obecnej. Są to zatem jakby trzy wielkie doby przeglądu: „onegdaj" historji europejskiej z zagonem aż do wojny światowej, „wczoraj" historji polskiej, oraz „dzisiaj" bieżącego życia polskiego. W tomie drugim ukażą się myśli autora o zadaniach Polski na „jutro".

Czytelnik, porwany rozmachem tak wielkiego zamysłu, z niezwykłem do tego dzieła przystępuje zaciekawieniem, ale już na progu zatrzymuje go takie określenie pojęcia „synteza", które z góry względem wywodów autora zasadniczą budzi nieufność. Po trzech, mianowicie, stronicach rozważań na temat liczności i różnorodności czynników historji, autor następującym zasklepia je wnioskiem:

„Kto z badaczy chciałby zagłębić się w tę różnorodność czynników historii, ten dokonałby ciekawej analizy, ale nie stworzyłby syntezy. Synteza jest zawsze upraszczaniem, a przez to i ubożeniem rzeczywistości. Zawsze ryzykuje się pominięcie szeregu zjawisk charakterystycznych, których uwzględnienie zmieniłoby przedstawiony obraz. Ale musimy ryzykować, gdyż zdanie sobie sprawy z przeszłości jest ważne dla oceny obecnego końca epoki".

Taki poglad na syntezę jest oczywiście mylny, a ryzyko jego zastosowania musiało doprowadzić autora do klęski.

Synteza w znaczeniu historjozoficznem polega na odnalezieniu takiego zjawiska, lub kilku zjawisk podstawowych, które przebiegowi danego okresu dziejów wyraźny wyznaczają kierunek, a wszystkie jego wydarzenia w jedną logiczną całość zaplatają. Tak pojęta synteza nie jest ani upraszczaniem, ani ubożeniem rzeczywistości. Przeciwnie: to właśnie tak zwana rzeczywistość,

nawet do jednej dziedziny życia ograniczona, sama przez się stanowi tylko uproszczony i ubogi treścią rozlew wydarzeń. I dopiero syntezująca myśl ludzka nadaje mu całość złożoną i bogatą.

W pierwszym rozdziale, traktującym o cywilizacji europejskiej, wbrew zapowiedzi autor żadnej syntezy nie podaje. Nietylko bez syntezy, ale nawet bez jakiejkolwiek metody błąka się po Europie i na przestrzeni szesnastu jej stuleci pobieżnie omawia, lub mimochodem wspomina te i owe, nie wiadomo dlaczego wyróżnione zdarzenia, ale ani im hierarchji nie udziela, ani ich w odpowiedniej perspektywie nie ustawia. Rozdział ten — pozbawiony budowy, w układzie — chaotyczny, a w założeniach i zamierzeniach — mętny, całkowite przynosi czytelnikowi rozczarowanie.

Zdaje się, że takie w pełnym biegu załamanie się tkwiło już potencjalnie w tem miejscu wstępu, gdzie autor widzi przed sobą dwie do wyboru drogi ujęcia historycznego: albo, (jak dosłownie mówi) „potężną sugestję Marxa", zawartą w księgach tego „potomka lwowskich rabinów", albo „filozofję ocen moralnych", zawartą w księgach, które (jak autor mówi) „natchnął inny Rabbi — z Nazaretu". Autor przechyla się do tej drugiej — moralnej oceny dziejów, ale stosuje również pogląd materjalistyczny na historję, a tylko opatruje go morałem religijno-moralnym. Nie usunęło to, rzecz prosta, strategicznego błędu w pomyśle t. j. braku syntezy, ale go jeszcze pogłębiło, albowiem dało autorowi pozór ujęć syntetycznych, które ożywioną działalnością taktyczną zasłoniły przed nim jego błąd podstawowy. Taki stan rzeczy stał się dla dzieła tem, czem bywa gęsta mgła dla samolotu.

Przebieg katastrofy jasno odtwarzają techniczne właściwości omawianego rozdziału, a że odsłaniają przytem ważną w ocenie dzieła cechę duchowego nastawienia w autorze, więc je tu naszkicuję. Rozdział ten p. t. „Zmierzch epoki" rozpościera się na siedemdziesięciu niespełna stronicach średniego druku i formatu powieściowego. Tyle miejsca wystarczyłoby dla rozwinięcia i obrony nawet bardzo złożonej syntezy, oraz dla zobrazowania jej słuszności na pewnej ilości przykładowych zjawisk danego okresu historycznego. Takim, jak sądzę, rachunkiem musiał kierować się autor, wyznaczając sobie miejsce tak szczupłe dla tematu tak ogromnego.

Zamiarem tedy i rozpędem autor wybrał się w stratosferę zagadnienia, ale w rzeczywistości, z powodu braku syntezy, wpadł w przyziemną drogę zwykłych rozumowanych wykładów historycznych. Ta zaś droga z konieczności jest bardzo długa i prowadzi poprzez wielkie mnóstwo zjawisk, dla omówienia jednakową wagę posiadających. Wobec tego autor zapewne już w ciągu pracy poczuł tragiczną dla siebie niewspółmierność pomiędzy bogactwem materjału a ilością miejsca. Tym sposobem, żeby w terminie, czyli — na wyznaczonej stronicy do mety dolecieć, musiał wiele zjawisk i zdarzeń całkiem z planu wyprawy swojej wyrzucić, wiele innych — nagłymi skrętami omijać, jeszcze wiele innych — w karkołomnym skrócie zaledwie wymieniać, a wogóle — w jakimś panicznym locie tu i tam się rzucać, aby nareszcie, u wrót wojny światowej, o zasadniczą wadę pomysłu, niby o skałę we mgły schowaną, zamiar swój roztrzaskać.

W denerwującym tempie tej galopady historycznej uważny czytelnik nabiera pewności, że każde szerszem omówieniem wyróżnione zjawisko posiada w oczach autora nie przygodne, ale najbardziej zasadnicze dla tematu znaczenie. Wobec tego szczególną uwagę zwraca jedno, najobszerniejsze ze wszystkich, miejsce, poświęcone osobie Karola Marxa, — wyraźnie zaznaczam: nie wpływowi i teorji, ale samej tylko osobie Marxa, co dla tematu całości, jak to każdy bezstronnie rozsądzić musi, jest najzupełniej zbyteczne. Na siedemdziesiąt stronic rozprawki, tak gwałtownie przez ogrom materjału rozsadzanej owe dziewięć stronic ciepłą ręką poświęconych osobie jednego z oszustów mafji żydowskiej, to — przyznajmy — wysoce zaciekawiające okienko wglądu w charakter umysłowości autora...

Wywody swoje na ten temat autor zaczyna w sposób następujący:

„Marx jest olbrzymem. Pisząc o nim, zupełnie świadomie uchylam się od dyskusji nad jego doktryną ekonomiczną i zupełnie celowo ograniczam (się) do „Manifestu Komunistycznego". Twórca jego interesuje mnie o tyle, o ile jest wyrazicielem pewnych prądów historycznych".

Jak widać z ostatnich słów przytoczenia, a również i z dalszych wywodów, autor włącza Marxa do historycznych prądów europejskich tak zupełnie, jakby to był przedstawiciel jednego z narodów, do cywilizacji europejskiej należących. To jednak jest błędem historycznym równie jaskrawym, jak byłoby włączenie do niej, naprzykład, wodza Hunnów — Attylli na tej zasadzie, że wojował i umarł w Europie. Takie stanowisko autora wynikło z podstawowej wady dzieła, o czem nieco później pomówię w trybie udowodniającym. Autor wprawdzie rozpisuje się o żydowskości Marxa, ale to jeszcze powiększa błąd wymieniony, bo rozciąga go na całe żydostwo, na Europie siedzące. Zastrzegam tu lojalnie, że w słowach ogólnikowych, ale wyraźnie autor odnosi się krytycznie do teorji Marxa, zaś w rozdziałach o Polsce stosuje słuszne do żydostwa polskie sprawdziany narodowe.

Hołd swój dla „Marxa-olbrzyma" autor wywodzi z „Manifestu Komunistycznego", zaś od rozmowy o marksowskiej doktrynie ekonomicznej stanowczo się uchyla. Możemy przychylić się do tego życzenia, z tym większym atoli naciskiem musimy bezpośrednio postawić pytanie: czem jest ów piedestał, na którym autor ustawia posąg swojego olbrzyma, czem jest ów „Manifest komunistyczny"? Uczciwa odpowiedź może być tylko jedna: jest to prawzór najbardziej płaskich, nachalnych i fałszywych broszur propagandy żydowsko-socjalistycznej. Razem z jej dziesięcioma punktami szkicowego programu bolszewickiego, dziś w Rosji wprowadzonego, i razem z jej uzasadnieniem krwawej (koniecznie krwawej) rewolucji powszechnej, broszura ta — to z zimnym cynizmem na biedną umysłowość najciemniejszych tłumów obliczone nagromadzenie tak wielkiej ilości kłamstw, oszustw, oszczerstw, drwin i szulerskich chwytów logicznych, że trzebaby całą rozprawę na ich zdemaskowanie poświęcić. Tu oczywiście z powodu braku miejsca poprzestać muszę na powyższej charakterystyce — ogólnej i gołosłownej. Zwrócę jedynie uwagę na główną, pomiędzy wierszami ukrytą myśl przewodnią tej osławionej broszury, oraz na jej ton wysoce znamienny.

Współplemieńcy Mordechaja — Marxa z łatwością odczytali w broszurze tej radosną wiadomość, że na globie ziemskim w łonie wszystkich narodów gojowskich powstaje, przez żydostwo od wieków poszukiwana, a liczna i wciąż rosnąca armja — armja proletariacka, bez własnej wiedzy i woli gotowa do walki na rzecz światowładnych planów żydostwa. Trzeba tylko, żeby żydzi objęli w niej kierownictwo, a to da się uczynić sposobami, które w broszurze jasno są przedstawione. Żydostwo całego świata od największych finansistów i rabinów do najnędzniejszych faktorów i mełamedów w lot zrozumiało korzyści z tego planu dla żydostwa płynące — i murem stanęło przy swoim Mordechaju. Dla zobrazowania tego faktu przytoczę urywek listu, który w owym czasie przesłał Marxowi Baruch Levy (biorę go ze znanej książki H. de Vries de Heekelingen „Izrael, jego przeszłość i przyszłość").

W tej nowej organizacji ludzkości synowie Izraele, rozsypani po całej powierzchni globu, staną się wszędzie bez żadnego sprzeciwu żywiołem kierowniczym, szczególnie o ile zdołają narzucić masom robotniczym stałe swoje kierownictwo. Rządy narodów, tworzących Republikę Światową, przejdą wszystkie bez wysiłku w ręce izraelickie wskutek zwycięstwa proletarjatu. Własność prywatna wtedy będzie mogła być zniesiona przez rządy rasy judejskiej, które wszędzie zarządzać będą majątkiem publicznym".

W duchu tej właśnie świadomości całą broszurę Marxa przenika ton zuchwałej radości i drwin ze wszelkich „konkurencyjnych" socjalistycznych poczynań gojowskich, ton, który czyni z niej śmiesznie podrygujący, prawdziwie żydowski Majufes komunistyczny.

Taki oto jest ów piedestał, na którym p. Mosdorf ustawił swojego olbrzyma. Przy końcu zaś swoich o nim wywodów ze wzruszającem zdziwieniem stwierdza, że w doktrynie swojej Marx „tak mało myśli i mówi o przyszłem społeczeństwie klasowem", i że „w punkcie dojścia proletarjatu do władzy przestawał interesować się ludzkością"... Jakże by mógł inaczej?! Czy autor widział oszusta, któryby dobrowolnie ujawniał cel swoich machinacyj? Ostatecznie zaś autor kończy dziewięć stronic swojej marksjady w słowach następujących:

„Proletariat był dlań (dla Marxa) w gruncie rzeczy narzędziem rewolucji; dalsze jego losy, tworzenie kultury socjalistycznej były już poza zasięgiem prawdziwych zainteresowań Marxa. Oto jedna z przyczyn, dla których marksiści po dojściu do władzy przestają być marksistami, choć zachowują, czasem nawet niewolniczo, jego ideologię: przetwarzają się bądź w liberałów typu Brantinga, bądź w faszystów typu Stalina".

O ile hołd dla tak osobliwego olbrzyma da się od biedy pomieścić w pojemnym worze wiecznie oszukiwanej t. zw. poczciwości polskiej, o tyle ostatnie słowa powyższego przytoczenia wręcz podrywają wiarę w dobrą wiarę autora. „Faszysta typu Stalina" — to wierutny nonsens, więc albo go tu święta naiwność umieściła, o co trudno posądzać autora, który mówi o sobie, że posiada wykształcenie filozoficzne, albo — złośliwość z żydowskiego dziennikarstwa przejęta, a w znienawidzony przez żydów faszyzm (włoski, bo innego nie ma) wymierzona. Nie chcę rozsądzać tej sprawy, w przestrzeni — drobnej, a w duchu — niesmacznej, i przechodzę do zsumowania wszystkich uwag swoich we wniosek psychologiczny, możliwie łagodny:

Autor w książce swej występuje w charakterze urodzonego rozjemcy spraw i ludzi napotykanych. Znany to typ człowieka — rozjemca, a odkrycie go w autorze odrazu wszystkie wątpliwości i mroki z jego dzieła przepędza. Jasną staje się rzeczą, że autor nie mógł zdobyć się na żadną syntezę dziejów, bo ta wymaga określonej postawy umysłowej i woli. Wobec tego dojrzał tylko dwa już gotowe, krańcowe i przeciwstawne poglądy historjozoficzne: jeden religijno-moralny, a drugi — materjalistyczny, ale jakkolwiek z góry opowiedział się za pierwszym, to jednak nie uchronił się od „potężnej sugestji Marxa", i w praktyce stosował również drugi. Dwie wzajem wyłączające się krańcowości nie mogły być podatnym gruntem dla stworzenia jakiejkolwiek syntezy.

Obojnactwo to odkrywa nam tajemnicę, dlaczego mianowicie pewne kategorje zjawisk autor w przeglądzie swoim pominął całkowicie. Zostało usunięte wszystko, co dotyczy kultury naukowej, artystycznej, społecznej, obyczajowej, prawnej, państwowej, narodowej, a to w tem mniemaniu, że dziedziny — religijno-moralna i gospodarcza wyłącznie do owej syntezy poszukiwanej należą. Ale i te z powodu szczupłości miejsca i wielosłowności swojej autor w niesamowitej galopadzie wykładu w strzępy rozerwał. Nic dziwnego, że w wyniku powstał obraz okresu historycznego karykaturalnie okaleczony i niezrozumiały. Nawet w codziennem życiu jednostkowem rozjemczy gest prowadzi tylko do „świętego spokoju", okupionego, zresztą, niewidzialną dla rozjemcy, ale stale dokoła niego obecną aurą lekceważenia ludzkiego dla nijakości, która się w todze sędziowskiej „zadekować" pragnie. Rozjemczym gestem niczego się nie dokonywa, a rozjemczy gest nie opuszcza autora do końca książki, przykre powodując następstwa, o czem dalej jeszcze dowodnie się przekonamy.

Obecnie czas mi przedstawić syntezę, która, według mojego rozumienia, z największą prostotą i prawdą ogniskuje w sobie powikłaną treść przebiegu cywilizacji europejskiej. W stosunku do książki omawianej opuścimy tym sposobem stanowisko krytyki czysto negatywnej i zyskamy określoną podstawę realną do pozytywnego oświetlenia wywodów autora, co w szczególności ważne będzie miało znaczenie w sprawie poglądu na teraźniejszą rzeczywistość polską, a z kolei — na postawę wobec nadchodzącej przyszłości.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

„MYŚL NARODOWA" jest wydawana kosztem prenumeratorów, prosimy więc Ich o nieodkładanie wpłaty, a zarazem aby propagowali pismo w kołach znajomych i przysyłali adresy tych osób, któreby mogły „MYŚL NARODOWĄ zaprenumerować.

Apelujemy też do wszystkich, którym na wydawnictwie zależy, aby pamiętali o konieczności zasilania FUNDUSZU PRASOWEGO „MYŚLI NARODOWEJ".

Wielki czas odnowić przedpłatę na kw. II. Warunki i adres na końcu numeru.

Przypominamy też o zaległościach.

NA WIDOWNI

Wiosenne powiewy w literaturze. — Kwestia rodzimości. — Poezja zaczyna rozróżniać rasę. — Krzyż na piaskach. — O łączność z ziemią. — Tematy mają być swojskie czy też dusze autorów? — Czy piszemy dla zagranicy, czy dla siebie? — Zmierzch snobizmu międzynarodowości.

BELETRYSTYKA oswoiła nas dostatecznie z dramatami dusz poetyckich, autorzy bowiem bardzo często piszą o sobie. Ale w tej historii, którą opowiedziała teraz p. Agnieszka Osiecka w świeżo wydanej powieści „Krzyż na piaskach" (Warszawa, Biblioteka Polska), znajdujemy na ten temat coś zupełnie nowego, o czem się dotąd nie pisało. Nie ma bowiem nic w powieści, czegoby wprzód nie było w życiu. Problematy wysuwa życie.

Była na wsi podlaskiej we dworze panienka z duszą wrażliwą na piękno przyrody, gorejącą przytem ambicjami literackiemi. Miała talent i niejaką sławę. Interesowano się nią w sferach literackich. Zamieszczała swoje utwory w prasie narodowej.

Zakręcił się koło niej poeta renomowany, redaktor czasopisma literackiego. Złośliwie usposobiony wobec literatury „bogo-ojczyźnianej" liczył, że da się poetkę z tego środowiska wyrwać. Panna była urocza, kolega po piórze pociągający kontrastami, głębinami umysłu, świetnością formy, nadawanej słowu. Imponował poetce i schlebiał. Nawiązał się stosunek miłosny, zawarli wreszcie związek małżeński. Harmonia nie trwała długo, tyle trwała, ile trzeba było nieznającej ludzi poetce, żeby się przyjrzeć mężowi i spostrzec, że doprowadził do zatracenia jej indywidualność. Rzuciła go, aby ratować duszę od ostatecznego upadku.

Jak widzimy, fabuła niewielka i pospolita w przebiegu faktów. Cała waga tej opowieści leży w przedstawieniu przyczyn konfliktu. On był żydem.

— — — — — — — — — — — —

Znany nam był z literatury schemat źle dobranych par rasy odmiennej. Nie wszystko tam było dramatem. Zła kalkulacja majątkowa, różnice w kulturze towarzyskiej, idiosynkrazja fizyczna — to tylko konsekwencje niemoralnego traktowania życia, tutaj jednak polska poetka zawierzyła się człowiekowi z całą duszą, a więc ze swoją poezją, w której widziała swój los. Właściwie jednak nie los osobisty kobiety stanowi istotę tego dramatu.

Słabą stroną powieści jako środka, mającego symbolicznie przedstawić sedno zagadnienia, jest to, że pomyślana została jako romans. Dramat miłosny trzeba tutaj uważać za rzecz wtórną. Doniosłość zagadnienia leży w sferze duchowej ponadjednostkowej. Jednostka pada ofiarą zazębienia się dwóch odmiennych typów kultury. Właściwym przedmiotem dramatu w danym wypadku jest osobowość ducha polskiego, przejawiająca się w swoistej formie jako odrębny byt idealny. Poeta jako rzecznik tego ducha jest szańcem, zdobywanym przez ducha obcego. Niczym jest dramat osobisty na tle miłosnym, wobec poczucia winy, że się było szańcem małodusznym, że się było wyłomem zamiast strażą.

Powieść Osieckiej nabiera znaczenia, jeśli się w niej widzi rozmysł poetycki usymbolizowania walki, jaką duch cywilizacji polskiej toczy z rozkładowemi wpływami wszelkiej żydowszczyzny. Nie brakło Polsce ostrzeżeń wieszczych na temat tego największego z dramatów („bólów ból"), jakim jest „narodów duch zatruty". Ale Krasińskiemu nieznana jeszcze była taka sytuacja ducha polskiego, że najistotniejszą jego funkcję, literaturę, sprawować będą bezpośrednio Żydzi. Doszło przecież do tego, że onieśmielonych nowościami żydowskimi Polaków Zydzi uczą twórczości, robiąc sobie zabawę z mowy polskiej i polską literaturę na zewnątrz reprezentują. Polacy są już jakby nie u siebie, bo liczyć się muszą z obcą kulturą, w której cieniu żywot swój pędzić im sądzono.

Osiecka podniosła bunt. Stanęła obok Wybranowskiego, który w swoim „Zwycięstwie" roztoczył szerszy widok na zapasy Polski z frontem żydowsko-masońskim.

— — — — — — — — — — — —

Z różnicy psychik, mających swoje rasowe właściwości, wypływają konsekwencje dla wszystkich dziedzin życia moralnego, społeczno-politycznego, religijnego, inaczej bowiem układają się światopoglądy i ideały. Dziedzina twórczości poetyckiej najgłębiej sięga w psychikę, najbardziej więc zależna jest od właściwości rasy. To uniemożliwia współpracę polskich poetów z żydowskimi. Nie ma tu miejsca na charakterystykę tych różnic. Trafne spostrzeżenie Osieckiej, ilustrowane obrazami scen życia i wzorami poezyj, starczy za szczegółowy wykład. Naiwny stosunek do świata poetki polskiej, oparty na wierze i głębokiej miłości do kraju i jego przyrody ścieza się z cynizmem żydowskiego poety. Gdy po tej stronie tyle prawdy, ile wiary, po tamtej pyrotechnika słowa, spekulującego na efektach bez żadnej kontroli ze strony uczuć. Ambicją poety tego typu było polskie mimi cry. W kochance i żonie chciał zyskać medium, podpatrzeć w niej tajemnicę polskości. Usidlona kobieta ani się spostrzegła, kiedy utraciła swą indywidualność. Wyrzekając się potrochu swoich dawnych wierzeń i uczuć, stała się jałową, przestała pisać. Na sypkich piaskach jej duszy pozostał tylko krzyż. Uratowały ją uczucia religijne, których nie dała sobie wydrzeć.

Powieść p. Osieckiej jest dziełem wytrawnego pióra, które potrafiło zagubić w utworze ślady publicystyki, a z drugiej strony podołało niełatwemu zadaniu ilustrowania epizodów kompozycjami wierszy, doskonale imitującemi znane utwory poetów żydowskich. Sceny, odtwarzające charakter żydowskich obozowisk artystycznych, pełne są wyrazistości.

Powieść „Krzyż na piaskach" jest znamienna dla naszych czasów. Swiadczy ona o budzeniu się świadomości narodowej na wszystkich polach. Bodaj najtrudniej było ją obudzić w świecie literackim. Walka obronna nie tylko stragany ma na względzie, ale także i przedewszystkiem — ołtarze.

— — — — — — — — — — — —

W dwu czasopismach polskich, poświęconych sprawom literatury i kultury, pojawiły się jednocześnie rozprawy, składające hołd narodowemu charakterowi sztuki. W marcowym zeszycie „Przeglądu Współczesnego" prof. Zygmunt Łempicki zastanawia się nad tym, co znaczy „narodowe i międzynarodowe" w literaturze, w kwartalniku zaś „Marchołcie" ze stycznia rb. Marian Piechal zamieścił interesujący szkic pt. „Wyspiański i wartości ogólne".

Stare to zagadnienie, a zdawało się do niedawna, że nie będzie końca jałowym sporom o prawo stylu narodowego w twórczości literackiej. Aliści teraz oto dwaj krytycy, jeden starszy, drugi młodszy, jeden liberał, drugi socjalista, składają zgodną deklarację, która u p. Piechala brzmi w ten sposób:

„Jeśli chodzi o reprezentację Polski Niepodległej na arenie międzynarodowej w dobie obecnej, to właśnie pisarze i artyści najściślej i najrdzenniej narodowi są tej reprezentacji najpoważniejszemi i jedynemi filarami".

To samo utrzymuje po długich wywodach Łempicki: trzeba być pisarzem bardzo narodowym, żeby się stać międzynarodowym.

Cóż to się stało, że z tej oczywistości taka dziś radość, jak z odkrycia? Nic innego tylko to, że takie stanowisko zajęła ideologia krajów nacjonalistycznych — obcych. Ona odbija się echem w naszym świecie literackim. Gdy polscy pisarze tak mówili, nazywano to bądź truizmem, bądź megalomanią pisarzy „bogoojczyźnianych".

Odkrycia, czynione teraz, że każdy twór ludzki musi mieć swój korzeń w ziemi, nie w powietrzu, mają w sobie sporą dozę naiwności, jakby je robili ludzie, obudzeni z hipnozy. Bo to była hipnoza. Pokolenia całe żyły pod czarem haseł międzynarodówki. Wmówiono im, że twórca literacki jest dzieckiem ludzkości, albowiem idee mają bieg bezpaszportowy. Pisarz (artysta w ogóle) tyle wart, ile się wybije ponad środowisko i wyprzedza swój wiek. Jest to człowiek „postępowy", nie znający rogatek i gardzący popularnym myśleniem jakiegoś zakątka. Tem więcej wart, im bardziej jest ogólnoludzki, uniwersalny. Wartości ideowe są ponadosobiste, ponadnarodowe i ponadczasowe. Poznać to można po tem, że arcydzieła cenione są zawsze i wszędzie. Artysta więc, zwłaszcza pisarz, szukać dla siebie winien „platformy" uniwersalnej.

Wielką przeszkodą jest brak języka uniwersalnego, który pod tym względem upośledza literaturę w porównaniu z muzyką. Stąd powstało ubieganie się ludzi „postępowych" o wynalezienie języka powszechnego (Esperanto). Nie chciano wierzyć, że nie będzie z tego pożytku, że ani języka, ani literatury z powietrza uniwersalnego „ludzkość" nie wytworzy. Wierzono bowiem, że owa „ludzkość" jest jakąś maksymalną osobowością, obdarzoną właściwościami duchowemi, zdolnemi coś tworzyć. Oczywiście był to przesąd, jeden z tych prymitywów międzynarodówki, które zubożyły myśl humanistyczną.

Błąd tego prymitywu myślenia staje się dzisiaj oczywisty. W świetle rozjarzonego życia duchowego, osobowości narodowych każdy widzi, że „ludzkość" szczycić się może tylko tem, co wytwarzają kultury narodowe.

— — — — — — — — — — — —

Rysem charakterystycznym tego przejrzenia jest pewne zdziwienie. Jak to sobie wytłumaczyć — pytają się nawróceni badacze literatury — że jakiś „regionalny" pisarz, operujący swojskim folklorem i nieznanym światu językiem, może się wzbić do wyżyn uniwersalności? Właśnie taki kłopot ma p. Piechal z Wyspiańskim i z literaturą powojenną. Zeromski przepowiadał, że po wojnie, gdy Polska odzyska wolność, zniknie regionalność literatury, pisarze oddadzą się zagadnieniom ogólniejszym, animującym całą ludzkość. Tymczasem nic podobnego! Tematyka i problematyka pozostała ta sama. Sam Zeromski nie zmienił swej gospodarki duchowej. Piechal szuka w ten sposób rozwiązania zagadki na przykładzie „Wesela":

„Powstaje pytanie: jeżeli człowiek genialny posiada taką moc, że pierwociny ludowe, popularne i cenione nieraz w obrębie zaledwie jednej gminy lub powiatu, potrafi podnieść do poziomu najwyższej wartości wzruszeniowej, zdolnej zająć ludzi na całym globie ziemskim, to prawdopodobnie mógłby się obejść bez tych pierwocin ludowych, jako źródeł natchnień, mógłby je, te źródła, sam stworzyć, odnaleźć w samym sobie bez pomocy z zewnątrz"...

Właśnie w tak postawionem pytaniu widzę naiwne zakłopotanie umysłu będącego na złym tropie: za złą drogę uważam, gdy krytyk doszukuje się siły twórczej w materiale (motywy, temat, problemat) utworu. Piechal odpowiada tak:

„Człowiek genialny mógłby się obyć bez pierwocin ludowych ale nie chce, bo zatraciłby związek z ziemią, bo tworzyć z siebie samego i w sobie samym to znaczy w pustce, w oderwaniu, dla nikogo (?). Pieśń ludowa jest więc jakby korzeniem, który z głębi ziemi, z dennych głębi narodu czerpie soki psychiczne, czerpie krew etyczną i estetyczną (s. 220).

Mogę uznać, że takie cofnięcie się do poglądów z czasu pierwocin romantyzmu jest wzruszające zwłaszcza dla nacjonalisty, jakim ja jestem, ale z drugiej strony muszę zakwestjonować, żeby taki mistyczny pogląd na materiał tworzywa mógł rozwiązać to proste zagadnienie.

Leży ono całkowicie w osobowości autora, nie zaś w tym, z czego autor coś wytwarza. Bo jakże — czyż twórcy „Faraona" lub „Quo vadis" dlatego, że nie użyli materiału rodzimego, to „tworzyli w pustce, w oderwaniu, dla nikogo"?

Otóż trzeba sobie ustalić pogląd, że prawda o owym „korzeniu, który z głębi ziemi, z dennych głębi narodu czerpie soki psychiczne", tyczy podmiotu tworzącego, nie przedmiotu; chodzi o to, żeby pisarz tkwił korzeniami w „dennych głębiach narodu", żeby miał dobrą kulturę, żeby człowiekiem był pełnym, nie tylko utalentowanym, żeby miał czysty zmysł życiowy, niezmącony doktryną; to znaczy, żeby dusza jego miała bezpośredni dostęp do życia — a o materiały jego tworzenia nie troszczmy się. Ta zasada leży dziś w duchu czasu, a z nią połapać się nie mogą synowie marnotrawni, którzy trawili czas na szukaniu metod po bezdrożach poglądów socjalnych i rozmaitych uniwersalizmów.

— — — — — — — — — — — —

Jednocześnie trzeba sobie wybić z głowy jeszcze jeden ambaras, mianowicie niespokojną troskę o to, kto nas za granicą będzie czytał, dlaczego nie czyta, co robić, żeby czytał. To jest niezdrowe, bo jałowe, upokarzające i odbierające spokój sumieniu twórczemu.

Ponieważ trzymam się rozprawy p. Piechala, którą mam pod ręką, więc jego przytoczę dla przykładu. Jest on ciągle niespokojny o to, czy utwór polski (Wyspiańskiego) ma znaczenie międzynarodowe, czy nie. „Niepopularność danego autora na terenie międzynarodowym — tak się pociesza — nie świadczy wcale, ażeby dzieło tego autora nie miało być z ducha międzynarodowe". Ubolewa wszakże, że obcość polskiego języka przeszkadza autorom być popularnymi za granicą:

Gdyby Polska była obecnie tak potężna jak Anglia, Wyspiański byłby niewątpliwie Szekspirem współczesnej Europy. (s. 221).

Z mojego stanowiska rzecz przedstawia się trochę inaczej. Wielka kultura daje nam Wyspiańskich na to, aby naród rósł w swoim poczuciu potęgi. Niechby to znalazło swój wyraz w zachowaniu się politycznym Polski, w jej mocy psychicznej, to wtedy Europa na tym się pozna i wtedy zacznie szukać Wyspiańskiego. Ale nie odwrotnie. Niech by krytyka pozostawiła troskę o popularność „międzynarodową” parweniuszom kultury z PEN-klubu. Niech lepiej myśli za Mickiewiczem, aby literatura zbłądziła pod r o d z i m e strzechy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

BRAK WYOBRAŹNI CZY SERCA?

PUBLICYSTA „Głosu Narodu” (J. Piwowarczyk ks.), w artykule „Żydzi sieją wiatr” (26.III.) wypowiedział taki pogląd psychologiczny:

„Panuje pogląd, że żydzi są szczególnie utalentowanym z natury narodem. Jak tam jest naprawdę z tymi jego zdolnościami, trudno rozstrzygać. Ale to jest pewne, że jednej zdolności ten naród nie ma: — n i e m a w y o b r a ź n i. Żydzi nie są zdolni do z r o z u m i e n i a naturalnych dążeń innego narodu do pełnej niezależności materialnej i duchowej. Brak im wyobraźni, która by im pozwoliła stawić się w sytuację drugiego narodu”.

Sądzimy, że należy wprowadzić małą poprawkę do twierdzenia znakomitego publicysty, mianowicie tyczącą pojęcia wyobraźni.

Naturę ludzką (to znaczy charaktery czy temperamenty) rozpoznawać należy we właściwościach bardziej pierwiastkowych. Wyobraźnia jest darem złożonym, na który składają się nietylko pierwiastki czysto intelektualne poznawania i „r o z u m i e n i a”, lecz przedewszystkiem pierwiastki natury uczuciowej. Żydom nie brak wyobraźni tego pierwszego typu. Doskonale handlują, operując rozumieniem cudzych słabości, doskonałymi są szachistami, słynęli jako prorocy, t. j. ludzie obdarzeni darem przewidywania, literaturę uczynili polem igraszek wyobraźni itd. „Rozumieją” oni środowiska skoro potrafią je opanowywać i przystosowywać się do niego w potrzebie prawem *mimikri*.

Nie o wyobraźnię wogóle chodzi w psychologii współżycia lecz o zaniedbany w tej wyobraźni pierwiastek u c z u ć pozytywnych, ludzkich, zwanych humanitarnemi czy społecznemi. Brak im zdolności współuczuwania (sympatii), sięgającego dalej poza stosunki rodzinne.

Wyobraźnia będąca głównym warunkiem stanów i postanowień twórczych, w dziedzinie twórczości społecznej typu narodowo państwowego dostarcza twórcom energii psychicznej z tych właśnie pokładów uczuciowych współczuwania, które porywają wolę do współdziałania z ludźmi w interesie pozaosobistym.

Żydzi są w tym właśnie punkcie kalekami. Dlatego nie potrafili stworzyć własnego społeczeństwa opartego na państwie własnem, bo taka twórczość wymaga ofiary.

Poniewierka dziejowa, w której głównym przewodnikiem był zmysł odśrodkowy strzeżenia własnego interesu, wyrobiła w żydach nietylko skrajny, drapieżny egoizm, ale na miejsce sympatycznych uczuć wzniosła cały system antypatii. Nie miłość łączy żydów ze środowiskiem (była by to niemożliwość psychologiczna), lecz nienawiść, mająca swój wykładnik w dążeniach wywrotowych (nie budowy lecz wywrotu) w owym „sianiu wiatru”.

Iżby się przy takim łączniku na powierzchni życia utrzymać, na to — przyzna nam J. P. — potrzeba sporej wyobraźni. Trzeba się dobrze orientować w stosunkach w duszach ludzkich, w drogach i środkach; a nadewszystko trzeba mieć wyobraźnię, by fałszywy stosunek pokrywać systemem pozorów.

Oczywiście etyka, zbudowana na podłożu takiej wyobraźni, musi się kończyć katastrofą. Zło się wyczerpuje, tylko dodatnie popędy twórcze są wieczne. Stąd cykliczne kataklizmy, któremi znaczone są dzieje żydów.

T. ZW. PAŃSTWO AUTORYTATYWNE

Czytelnicy nasi mieli możność uczestniczenia w niezwykle ciekawej dyskusji na temat państwa totalnego, którą prowadziliśmy na łamach niniejszego pisma. Totalizm znajduje się obecnie na warsztatach myśli politycznej i słusznie. Jest zjawiskiem wagi ogromnej, bez względu na to, jaki się ma do niego stosunek: pozytywny czy negatywny.

Sądzimy, że myśl społeczeństwa winna też się zastanowić nad zjawiskiem t. zw. „państwa autorytatywnego”. Mówiło się o nim dość szeroko, zwłaszcza w ostatnich czasach z okazji powołania w Rumunii rządu apartyjnego z patriarchą Mironem na czele.

Zjawisko „państwa autorytatywnego” szczególnie zachwala u nas prasa sanacyjna, z tej zaś znowu szczególnie — drobny odłam Związku Młodych Narodowców z jej publicystami wyrosłymi wokół „Awangardy” na czele.

Czem jest owo „państwo autorytatywne?” W intencjach państwem o silnym rządzie, co jest zupełnie słusznym i dla każdego narodu wielce pożądanym zjawiskiem. W praktyce zaś państwem, w którym rząd siłę swoją opiera na sile czynników policyjnych, administracyjnych oraz instytucji i ludzi bezpośrednio czy pośrednio od państwa zależnych. Niepoślednią tu rolę grają jednostki, lub całe zbiorowiska jednostek, dla których oportunizm jest busolą decydującą, jeśli nie jedyną.

„Państwo autorytatywne” szuka oparcia samo w sobie; wytwarza się skutkiem tego najbardziej absurdalne zjawisko: f o r m a ż y c i a n a r o d u o p i e r a s i ę o f o r m ę. Treści albo nie rozumie albo nie jest w stanie dojrzeć.

Apartyjne rządy „państw autorytatywnych” nie opierają się ani na stronnictwie reprezentującym większość zwolenników wśród obywateli i rozporządzającym przeto większością w parlamencie, nie opierają się też na parlamentarnej większości wytworzonej na skutek koalicji stronnictw, nie opierają się też na ruchu politycznym posiadającym przywilej monopartyjności. R z ą d „p a ń s t w a a u t o r y t a t y w n e g o j e s t g o r s z y m w y d a n i e m p a ń s t w a t o t a l n e g o, p o s i a d a j ą c y m w s z e l k i e j e g o w a d y, n i e p o s i a d a j ą c y m

natomiast jego zalet. Stąd, wskutek nieporozumienia, niezasłużone często cięgi, jakie odbiera totalizm w dyskusji nad ustrojem.

System rządów „państwa autorytatywnego", nie mający oparcia w narodzie, nie reprezentujący żadnego dziejowego nurtu, jest kompromisem świadczącym albo o braku żywej myśli politycznej w społeczeństwie, albo o braku aktywu politycznego zdolnego do podchwycenia władzy w swe ręce. Stanowi tylko prowizorium i dlatego niebezpieczną jest rzeczą, jeśli poprostu nie absurdem, utrwalanie stanu, który sprzyjał wytworzeniu tego systemu, ustawą konstytucyjną, usiłującą przejściowy stan zamienić na stały. Trwałość jego będzie zawsze problematyczna, co w rezultacie podrywa powagę konstytucji. Jeśli się weźmie pod uwagę jej wagę jako podstawy praw, zrozumiemy wówczas istotę wielce demoralizującego procesu, jaki widzimy niejednokrotnie i w wielu krajach, do którego dopuszczać nie wolno.

NAUKA I LITERATURA

„CHRZEŚCIJANIN W TALMUDZIE"

POD TAKIM tytułem (Ksiądz Justyn B. Pranajtis. Chrześcijanin w Talmudzie żydowskim. *Christianus in Talmude judaeorum*. Wydanie drugie. W ydanie I z fotokopią i wstępem „Ksiądz Pranajtis i walka o Talmud" Michała Jana Juszczyńskiego. Instytut wydawniczy „*Pro fide*". Skład główny w księgarni A. Prabucki, Warszawa, Miodowa 1. Warszawa — 1937, str. 334) ukazała się niniejsza sensacyjna publikacja, głośna w swoim czasie przy okazji zapomnianej już dziś, z przed lat 27 sprawy o mord rytualny, popełniony w Kijowie na 13-letnim Andrzeju Juszczyńskim przez żydowskiego rzeźnika, Mendla Bejlisa.

Ks. Pranajtis, świetny hebraista, prof. Akademii duchownej w Petersburgu, wydał swą książkę w r. 1892 w Petersburgu. Żydowska prasa i krytyka w kraju i na emigracji usiłowała utrącić niebezpieczne wydawnictwo przy pomocy takich wypróbowanych metod, jak przemilczenie, zbagatelizowanie zarzutem niekompetencji, zabicie w opinii przy pomocy oszczerstw w prasie i t. p. Książkę niebawem wykupiono i ukryto lub zniszczono większość nakładu.

Ks. Pranajtis naraził się na pomstę żydostwa nietylko za samo dzieło, ale i z przyczyny rozgłosu, jakiego nabrało ono podczas procesu Bejlisa, gdzie uczony kapłan występował w roli eksperta z ramienia rosyjskiego Ministerstwa Sprawiedliwości. Dzielnego księdza nie odwiodły od ogłoszenia prawdy ani próby przekupstwa ani groźby zatrwożonych przewidywanymi wynikami ekspertyzy żydów.

Oto, co tam czytamy we wnioskach: „1) morderstwa rytualne chrześcijan przez żydów nie są wymysłem, a rzeczywistością, 2) te mordy rytualne są rezultatem zdziczenia, t. j. doprowadzenia wniosków z całej żydowskiej nauki religijnej i jej różnych interpretacyj do krańcowych i zwyrodniałych granic, 3) dopóki nie będzie dowiedziona rzecz przeciwna, zabójstwo Andrzeja Juszczyńskiego w Kijowie — według swego charakteru, okoliczności, pozornej bezcelowości, sposobu zadania uszkodzeń, narzędzi zbrodni, charakteru i wielokrotności uszkodzeń, mających charakter znęcania się i męczarni, rozmieszczenia tych uszkodzeń na ciele ofiary — brak niemal całej krwi wyciekłej ze zwłok, tak na ubraniu, jak i na miejscu znalezienia zwłok Juszczyńskiego — czasu popełnienia mordu (przed żydowską *paschą*) — posiada wszystkie wyróżniające się i charakterystyczne cechy typowego mordu rytualnego". (str. 21).

Dzięki akcji *sztadlanów* (orędowników) i zakulisowym wpływom żydwskiej finansjery proces umorzono, ks. Pranajtisa zaś „wykończono" w jego karierze. Bohaterski kapłan przewidywał swój los, człowieka, co zadarł z żydostwem, ale nie uląkł się. Zmarł w r. 1917, przed śmiercią wyznał ks. biskupowi Cieplakowi, iż uważa, że został otruty. Męczeńską śmiercią dał świadectwo wierze i prawdzie. (St. J.)

WIADOMOŚCI KRONIKARSKIE

W Wilnie począł wychodzić dziennik pod tytułem „Głos Narodowy" (Mostowa 1).

W Warszawie ukazał się zeszyt okazowy (za marzec) miesięcznika pt. „Polityka Narodowa". Red. Z. Berezowski.

Prof. Franciszek Bujak otrzymał nagrodę naukową m. Lwowa im. Karola Szajnochy w kwocie 2.500 zł.

Prof. Zygmunt Szwejkowski oddał do druku monografię o Adolfie Dygasińskim.

RUCH WYDAWNICZY

Czesław J. Centkiewicz „Biała foka". Warszawa 1988. Tow. Wyd. „Rój", str. 263.

Sprawozdania z podróży naukowych pióra Arkadego Fiedlera a teraz inż. Centkiewicza, kierownika ekspedycji na Wyspę Niedźwiedzią, podczas Roku polarnego, przyzwyczajają czytelnika do nowego typu książki podróżniczej. Będzie to coś pośredniego pomiędzy obiektywnym reportażem a osobistemi wspomnieniami z włóczęgi po szerokim świecie. Uroku dodaje siła bezpośredniego przeżycia u autora, uczestnika opisywanych przygód i wydarzeń, po sportowemu związanego z powodzeniem zamierzonej akcji badawczej lub łowieckiej. Autentyzm potwierdzają wspaniałe zdjęcia zwierząt i krajobrazu polarnego.

Inż. Centkiewicz, mając na uwadze badania hydrograficzne Oceanu Lodowatego ale i także nową taśmę niepowszednich wrażeń, zaokrętował się na myśliwskim statku „Isfjell", którego specjalnością polowanie na foki i morsy, a trasa nader urozmaicona i daleka — przez ciasną gardziel Morza Białego na Morze Barentza i dalej ku brzegom Grenlandii.

Zapomnieliśmy już prawie o Nansenie, o bohaterskim i równie tragicznym Amundsenie, o tych mówiąc językiem Bol. Micińskiego „podróżach do piekieł", wiodących swój ród z wędrówek Odysseussa, kryjących, każda i nieodmiennie, na dnie wieczysty pierwiastek eschatologicznego mitu, ciekawości tak ludzkiej, — jak owe *fines*, gdzie *orbis terrarum* się kończy, dla oczu naszych kształt biorą? Ten chyba jedynie, prócz zysku — i istotniejszy odeń, — powód niekończących się wypraw dla zdobycia niedosiężnej tajemnicy. Chęć przekroczenia zakreślonej w ziemskim układzie dla naszego poznania granicy, przebicia wzrokiem zasłony, co kryje nieznane, oto niemniej ważna niż naukowa dociekliwość przyczyna upartych pielgrzymek do niezdobytego matecznika przyrody. Pełne grozy śmierci najczęstsze finały tych wypraw nie odstraszają ale przeciwnie ciągną tych, co nawet w objęciach śmierci radzi zgłębić jej mroczną głębię i dojrzeć, co świta po „tamtej" stronie.

Opowieść inż. Centkiewicza obfituje w dramatyczne epizody, zwłaszcza z okresu burz i nawałnic oraz miażdżącego nierzadko co słabsze statki naporu lodów. Ruchliwa złośliwość tego pozornie martwego żywiołu stwarza tysiące niebezpiecznych sytuacyj, otwiera nagłe przepaści pod nogami przypadkowego wędrowca lub piętrzy wały nie do przebycia na drodze okrętu. Wówczas nie ma on nic innego do roboty, jak wezwać pomocy „łamacza lodów", aby mu ten wolną drogę z przymusowego więzienia na świat otworzył.

Polowanie na bezbronne foki, zmyślne i groźne dla dużej nawet łodzi, pełnej myśliwych, białokływe morsy, czy skakanie z chybotliwej kry na krę do polarnego niedźwiedzia — wszystko to okazje do pierwszorzędnych emocyj. Całkowite zżycie się z norweską załogą, ludźmi prostymi ale o delikatnych uczuciach i ogromnym zasobie pamięciowym niecodziennych przygód, w atmosferze przytem ciężkiej pracy przy oprawianiu zdobyczy, konserwowaniu foczego tłuszczu i soleniu skór — stwarza podobne warunki do tych, w jakich znalazł się młody Hervé na statku rybackim. Szyper z „Isfjell" tak bardzo chwilami przypomina starego Disko z Kiplingowskiej opowieści. Książka, nie będąca zresztą debiutem, pisana bezpośrednio, ale i z werwą oraz niezłą literacką wprawą.

Z SALI ODCZYTOWEJ

„PODRÓŻ MARCO POLO DO CHIN"

ODBYŁ się w Tow. Nauk. odczyt znanego uczonego flamandzkiego prof. Ganshofa p. t. „*Le voyage de Marco Polo en Chine*".

W połowie XIII w. nie było bezpośrednich stosunków handlowych między Europą Centralną a Indjami, którą to nazwą oznaczano wówczas potocznie Wschód cały. Większość produktów, takich, jak pachnidła, drogie kamienie, tkaniny, bakalje, różańce, wonności i t. p., przywozili kupcy ze Wschodu drogą przez Syrię i Bizancjum. Jak wiadomo, cała prawie Azja, łącznie z Rosją, pozostawała w XIII stuleciu pod władzą chanów tatarskich. Tymczasem cała Europa wobec rosnącej grozy tureckiej poczęła się sprzymierzać z Tatarami, co do których żywiła zresztą pewne nadzieje w kierunku ich nawrócenia na chrystianizm. Dzięki tej przyjaźni były właśnie do pomyślenia podróże kupców europejskich na daleki Wschód.

I tak, Nicolo i Matteo Polo, dwaj bracia, Wenecjanie, wyprawili się po drogie kamienie, szczególnie zaś po djamenty do Azji. W czasie tej 4-letniej podróży przyszedł na świat syn Mikołaja, Marco (1254 r.). Po raz pierwszy towarzyszył ojcu i stryjowi w 1271 r. i od tej już pory przez lat 26 ciągle przebywał na Wschodzie. Czar tych mało znanych krain urzekł młodzieńca i zawładnął niepodzielnie jego duszą.

Głuche wieści, przyniesione przez misjonarzy katolickich o wielkim cywilizowanym państwie daleko na wschodzie, niepokoiły bardziej przedsiębiorcze jednostki i skłaniały do podejmowanych z pasją poszukiwań. Tak też i dwaj panowie Polo w towarzystwie dwóch Dominikanów udali się Morzem Śródziemnem, przez Syrię, Badakhan i pustynię Gobi i trafili na dwór wielkiego władcy Mongołów, Kublai-Chana. Ten przyjął ich gościnnie i nawet zażądał aby z powrotem za pośrednictwem papieża przysłali mu stu misjonarzy, dla nauczania dzikich plemion.

Spostrzeżenia młodego Marca w jego wspomnieniach z odbywanych później podróży mają w sobie wiele trafności i uroku, zwłaszcza cechuje je właściwy dobór cech w barwnym opisie przebywanej drogi.

Przez Irak oto idą więc po raz drugi nasi wędrowcy pieszo do Hormusu w Persji, wielkiego portu handlowego. Obraz tego centrum życia na morzu, przyblakłe, gobelinowe tło błękitnych toni, nieco zatarty rysunek okrętów i cytadeli, panującej nad miastem — dają jedyną czarowną wizję nadmorskiego grodu. Ciągnęli potem owi kupcy weneccy wytrwale przez surowy i zimny Pamir. W pamiętnikach Marca są znowóż niezwykle ciekawe i trafne ujęcia tej pustej, niegościnnej i dzikiej okolicy — „dachu świata". Z Pamiru przez malowniczy Turkiestan i niebezpieczną pustynię Gobi, której opisy zdumiewają do dziś czytelnika pamiętników, przybyli wreszcie na dwór Kublai-Chana.

Jedną z głównych przyczyn powodzenia pamiętników Marca w średniowieczu jest wspaniałość opisów dworu chańskiego, słynącego z bogactwa i przepychu. Panuje w nich atmosfera „Opowieści z tysiąca i jednej nocy". Powabu rękopisowi dodały barwne iluminacje, ilustrujące co ważniejsze wydarzenia, to też odpisy tego dzieła krążyły wówczas powszechnie.

Frapujące dla geografa albo przyrodnika są w niem notatki — obliczenia przeróżnych odległości oraz zapiski pejzażowe. Co prawda współcześni nie bardzo wierzyli w prawdziwość danych z tego jakby pierwszego przewodnika po Azji, ale później sprawdzono wszystkie pomiary wysokości etc. Prawdziwa to skarbnica przeróżnych ciekawostek: jak wydobywa się np. drogocenne rubiny z łona ziemi — przywilej wyłącznie książąt, gdyż zwykli śmiertelnicy tylko pośledniejsze gatunki drogich kamieni i w niedużych ilościach kopać mogą — jak jej wydziera djamenty, srebro albo sól kamienną. (Od tej pory sól z dalekiego wschodu stanie się podstawą bogactwa Wenecji). A pozatem opis fauny i flory i takie np. spostrzeżenia, jak to, że wysoko, w górach Pamiru powietrze jest rzadkie i większe stąd ciśnienie krwi. Podobnie pierwszy zauważył Marco, choć również zjawiska nie potrafił naukowo wyjaśnić, miraże pustynne, co do których miał jednak już pewność, że bynajmniej nie graniczą z czarami. Dostrzega i opisuje dzikiego barana górskiego w Pamirze, wymierza metrową rozpiętość jego rogów. Interesuje się człowiekiem Azji, Tatarem, — tem wędrowno-pasterskiem, a jednocześnie dzikiem i wojowniczem plemieniem. Smakuje mu ich kumys. Stwierdza, że silniejsi rasowo, chociaż podbici przez hordy tatarskie Chińczycy zasymilowali swych najeźdźców. Opisuje cesarstwo chińskie, z całą jego organizacją i strukturą, a następnie w bardzo inteligentny sposób rysuje mapę swej podróży, gdzie prócz pewnych, zrozumiałych naiwności bardzo już wiernie odtwarza południowo-wschodni kontur wybrzeża Azji. Na karcie, w odpowiednich miejscach znajdują się różne alegorie rysunkowe, tak np. na skraju Chin — człowiek z rybą w ręku (symbol rybołóstwa dość prymitywnego, bo polegającego na łapaniu ryb gołemi rękoma). Marco Polo dziwi się temu i uważa za charakterystyczne dla Chińczyka.

Na religię w państwie mongolskim, które nazywa *terra mixta*, składa się cała mnogość różnych wyznań: buddyzm, islamizm, wszelkie odmiany poganizmu, wreszcie chrystianizm. Rzecz osobliwa, Marco Polo znalazł w Chinach nad Oceanem Spokojnym (w. XIII) wśród rdzennych Chińczyków ślady religii chrześcijańskiej w postaci sekty nestoriańskiej (Nestoriusz — w. V) i nawet przywiózł stamtąd rękopis treści religijnej ze znakiem krzyża na początku.

Kupiec i podróżnik wenecki przez tych lat kilkanaście pobytu poznał organizację chińskiego cesarstwa. Zaimponowała mu centralizacja ogromnego państwa (12 ministrów w rządzie, sprawującym absolutną władzę nad krajem, liczącym 23 prowincje i olbrzymie terytoria protektoratów, między którymi i cały teren dzisiejszej Japonii). Gdy chodzi o sprawy finansowe, to panował tam wszechwładnie monopol złota.

W roku 1295 powrócił wreszcie Marco Polo z wielkimi bogactwami do ojczyzny, gdzie Wenecjanie przyjęli go nieufnie, a rodzina nie chciała uznać za swego, gdyż zdawna już podzieliła się majątkiem po zmarłym rzekomo krewniaku. To wszystko napoiło Marca goryczą ale nie powstrzymało od osiedlenia się w Wenecji. Wprędce opowiadania o podróżach i niesłychanem bogactwie Chin wyrobiły mu swoistą sławę. Rodacy uczcili go popularnem imieniem *messer milione*, a nawet ulicznicy wykrzykiwali poza jego plecami: „*messer milione*, opowiedz nam które ze swoich kłamstw".

Podczas walk Genui z Wenecją dostał się Marco do niewoli i w więzieniu poznał poetę Rusticiana z Pizy, któremu podyktował swe wspomnienia i nazwał je „Księgą Marco Polo". Prócz tej napisał jeszcze: „Podział świata", Księgę cudów świata" i „Księgę Marco Polo i cudów Azji". W pierwszych zawarł podróże ojca, w następnych — swoje. Do dziś stanowią one Encyklopedję geograficzną dla badaczy Azji, stąd częste ich wydania, np. wspaniała naukowa edycja pułkownika Yule w wydawnictwie Hakluyt, Londyn 1875, wznowiona później przez Henryka Cordier.

Gdy Marco Polo w r. 1323 umierał, spowiadający go ksiądz zażądał odeń odwołania wszystkich „kłamstw", zawartych w jego puściźnie książkowej i w ustnej tradycji narratora. Snop różnokolorowego światła bijący z tych opowiadań, tak oślepiał i raził nienawykłe oczy Europejczyka, groził zachwianiem wrodzonego poczucia umiaru, wybiegał ponad przeciętną, zakreśloną w tej części globu granicę, że wolano opatrzyć niebezpieczne, romantyczne księgi pieczęcią herezji.

St. J.

PODWÓJNE OBYWATELSTWO

MOTTO: „...tym razem uprawnieni są do głosowania również Niemcy zagraniczni, przebywający choćby czasowo na terenie Rzeszy... według praktyki narodowo - socjalistycznej są oni zrównani z pełnoprawczymi obywatelami Rzeszy...”

Depesza „Kur. Warsz.” z Berlina z 6 marca r.b.

PANGERMANIZM posługiwał się w ciągu dziejów różnemi środkami, jeśli chodziło o dezorganizację lub podbój sąsiadów. W osiemnastym wieku masoneria rozsadzała Francję i Polskę *pour le roi de Prusse;* w ubiegłym stuleciu rząd pruski, później rząd Reichu posługiwał się socjalistami bądź ruchem socjalistycznym w zakresie swoich planów politycznych. Wystarczy wskazać na układy Bismarcka z Lassallem co do powstania polskiego w r. 1863, bądź na charakterystyczną pomoc pieniężną potężnych niemieckich związków zawodowych, które pośpieszyły z wydatnemi funduszami na podtrzymanie powszechnego strajku, jaki wybuchł na jesieni roku 1911 w Anglii. Przypomnijmy, że wówczas angielskie doki i magazyny opustoszały, fabryki zostały zamknięte, koleje stanęły. A wojna wisiała w powietrzu z powodu zaognienia zatargu angielsko-niemieckiego o Agadir. Socjaliści niemieccy, którzy w trzy lata później bez wahania wzięli karabiny, aby strzelać do towarzyszy francuskich i belgijskich, wówczas w r. 1911 kiedy pokój wisiał wprost na włosku, słali do Anglii pieniądze na podtrzymanie strajku powszechnego — dezorganizującego Anglię od wewnątrz. Tylko dzięki heroicznym wysiłkom rządu angielskiego sprawę załagodzono i zwekslowano na tory załatwienia pokojowo - ugodowego. Przed wojną Niemcy były pepinjerą międzynarodowego socjalizmu. W Niemczech socjalizm był najsilniejszy i najlepiej rozbudowany. Ale zarazem wojskowy wywiad niemiecki przyczyniał się do propagandy socjalizmu i w krajach znajdujących się pod berłem carów rosyjskich, a także i u innych sąsiadów.

W okresie liberalizmu żydzi budowali gospodarczą potęgę Niemiec, po przegranej przez nich wojnie światowej potężne wpływy międzynarodowych banków i koncernów żydowskich oraz masoneria uratowały Niemcy od rozgromu.

Gdy zaś socjalizm i żydzi okazali się już niepotrzebni, a nawet zaczęli zagrażać państwu niemieckiemu, nastąpiła ich likwidacja.

Ale w całym świecie działa dalej bakcyl komunizmu, którego szefów przywieźli ze Szwajcarii do Rosji w zaplombowanym wagonie oficerowie niemieccy na rozkaz sztabu. A współczesna odmiana imperializmu niemieckiego w postaci hitlerowskiej dyskontuje na rzecz swych interesów niebezpieczeństwo komunizmu, który przecie przy niemieckiej pomocy został zaszczepiony w Rosji.

Oferty antykomunistyczne Hitlera są zupełnie podobne do interwencji mocarstw rozbiorowych w sprawie dysydentów polskich.

W mowie Hitlera, wygłoszonej 20 b. m. z okazji *„Anchlussu”* złowrogo zadźwięczały akcenty dotyczące zorganizowania pod jeden sztandar hitlerowski (współczesna mistyczna odmiana pangermanizmu) Niemców, rozproszonych po całym świecie, a przedewszystkiem zaś z obszarów państw sąsiednich, bez względu na to czy są oni obywatelami Rzeszy czy nie. Jest to więc niemiecka odmiana hasła: proletariusze (i komuniści) wszystkich krajów łączcie się. Niebezpieczne to dla pokoju świata tak samo jak i komunizm.

Ażeby zrozumieć to, co to znaczy przy dzisiejszej dynamicznej polityce III Rzeszy, należy przypomnieć sobie ustawę niemiecką o podwójnem poddaństwie. Jest to tak zwana ustawa Delbrücka, która weszła w życie I stycznia 1914 roku. Potrzebę takiego prawa Delbrück umotywował w Reichstagu w sposób następujący: „Zdarzają się wypadki, że obywatel niemiecki na obczyźnie odczuwa potrzebę mieć do swej dyspozycji prócz narodowości swojej i narodowość inną, której posiadanie pozwoli mu lepiej i skuteczniej bronić interesów swej starej ojczyzny”.

W dyskusji nad ustawą — przed wojną światową! — zaznaczono, że potrzebna ona jest dla celów **niemieckiej polityki wszechświatowej.**

Pamiętajmy, że obecnie, kiedy to Niemcy ogarnięci są pewnego rodzaju mistycznym prądem imperialistycznym, wyrażającym się w hitleryzmie, prawo Delbrücka o podwójnym obywatetstwie jest doskonałem narzędziem w rękach ajentów hitlerowskice. Ta ustawa, potworna z punktu widzenia prawa państwowego, rozgrzesza każdego Niemca. Skoro się czuje Niemcem i hitlerowcem, to obywatelem innego państwa jest tylko pozornie, dla oka, udawać nawet może inną narodowość, albowiem — jak motywował w Reichstagu Delbrück: „obywatel niemiecki na obczyźnie może mieć potrzebę posiadania jeszcze drugiej narodowości oprócz swej własnej, a to dlatego, że to posiadanie tej drugiej narodowości pozwoli mu lepiej i skuteczniej bronić interesów swej starej ojczyzny“. W Czechach do hitlerowskiej partii Heinleinda zaczynają przystępować członkowie innych stronnictw. Co będzie dalej?

Patrząc na to, co się dzieje w Niemczech i naokoło, obserwując niezwykły wprost dynamizm niemieckiego imperializmu, dążącego do podbojów, musimy zdać sobie sprawę, jak niebezpiecznym są elementem w każdym państwie niemieccy hitlerowcy.

Są bowiem narzędziem niemieckiej polityki międzynarodowej, narzędziem, jakie wprawiane jest w ruch w myśl głęboko przemyślanej zasady, której np. nadano formę prawa już w r. 1914.

A Hitler wychowuje Niemców nie w celach pokojowych; oni mają sprowadzić burzę na świecie. Zaiste może sprowadzić burzę taki naród, który uchwala ustawy o podwójnej narodowości, aby za pomocą takiej różnicy lepiej i skuteczniej bronić interesów Reichu.

I jeżeli ten naród ma w dodatku — Hitlera.

QUIS

NA MARGINESIE

Dramatem działaczy politycznych bywa niemożność zdobycia się na decyzję — czy robić historię nową, czy też podrabiać starą.

*

Hodowla bakcylów głupoty daje doskonałe wyniki w wysokiej temperaturze samouwielbienia.

*

W liceum.

— Proszę wypisać formułę ozonu.

— Zero trzy, panie profesorze: O_3

— Nie zero, ale O! Czy pan z polityki zdaje, czy z chemii?!

*

Na Nalewkach

— Zarznięto naszych rytualnie!

— Skąd się wzięła w Sejmie wiekszość?

— Powiadają — stąd, że mieliśmy naszą większość wtedy w PKO...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.